Rok X. Radom, marzec—Kwiecień 1934 r. Nr. 3.

FILARETA

CZASOPISMO K. M „FILARECJA“ PAŃSTW. GIMN.
IM. J. KOCHANOWSKIEGO w RADOMIU

DLA CIEBIE POLSKO i DLA TWOJEJ CHWAŁY!



J. E Ks. Biskup Wł. Jasiński.

Z WIZYTACJI J. E. Ks. BISKUPA WŁ. JASIŃSKIEGO.

Rozwiane i roztrzepotane na wiosennym wietrze dwie wielkie flagi, sterczące z okien trzeciego piętra, gorączkowy ruch przed budynkiem, zwożone zewsząd kwiaty i zieleń, wymownie świadczyły, że dziś gimnazjum im. Kochanowskiego przeżywa wielkie i niecodzienne zdarzenie.

Wewnątrz panował nastrój uroczysty i budynek, zwykle pełny krzyku, śmiechu i wrzawy, zachowywał poważną ciszę. Cóż jest przyczyną tej nagłej zmiany? Oto dziś szkoła nasza miała dostąpić zaszczytu goszczenia w swoich murach J. E. Biskupa Jasińskiego. Punktualnie o godz. 11 rano, po uprzednio odprawionej Mszy świętej w Kaplicy na Świeżej, przybył ks. Biskup do naszej szkoły. Towarzyszyła Mu liczna asysta duchowieństwa, wśród której znajdował się były nasz prefekt, obecny wizytator szkół średnich, ks. prałat Br. Ekiert. Młodzież, zebrana w sali kl. 4, w skupieniu oczekiwała przybycia ks. Biskupa. Na wstępie powitała dostojnego gościa orkiestra szkolna marszem papieskim, po którym przemówił p. Dyrektor J. Dąbrowski, w krótkich słowach wyrażając radość i wielkie zadowolenie z powodu przebywania w murach zakładu tak dostojnego gościa. Wzniesiony okrzyk młodzież trzykrotnie z wielkim entuzjazmem powtórzyła: Niech żyje J. E. ks. Biskup Jasiński. Następnie ks. prefekt dr. St. Grelewski w swojem przemówieniu scharakteryzował młodzież zakładu i jej pracę na terenie tegoż zakładu. W imieniu uczniów Gimnazjum przemawiał kol. Gwarek kl. VIII. Po tych przemówieniach zabrał głos J. E. ks. Biskup, który w ciepłych słowach zachęcał nas do systematycznej i wytrwałej pracy, abyśmy „wzrastali nie jak grzyby po deszczu, ale jak dęby, silni i potężni" i pracowali samodzielnie, a nie z cudzego zeszytu, czy ściągawek. Pokrzepił przyszłych maturzystów zapewnieniem, że „matura to nic strasznego" i nie należy jej się bać, bo „wszak sędziami będą nie kaci, a profesorowie i wychowawcy, którzy odznaczają się wielką wyrozumiałością". Kończąc, zaznaczył, że tylko z Bogiem w sercach możemy owocnie pracować.

Po skończonej przemowie orkiestra odegrała hymn narodowy. Na propozycję ks. Prefekta miano dokonać fotografji. A tymczasem ks. Biskup żywo rozprawiał z p. Dyrektorem, interesując się sprawami szkolnemi. Specjalnie zainteresował się sztandarem szkolnym i dokładnie go obejrzał. Ks. Prefekt zaprezentował również dzieło, wykonane przez kol. Pawłowicza kl. 4, w postaci kościoła, na wzór świątyni N. M. P. w Ra-

domiu. Ks. Biskup niezwykle serdecznie rozmawiał zarówno z uczniami jak i z radą pedagogiczną, zadając mnóstwo pytań z dziedziny nauczania szkolnego. Przed p. prof. Wróblewską złożył ks. Biskup maleńki egzamin ze znajomości przyimków, łączących się z 2 i 4 przypadkiem, egzamin zakończył się b. dobrze. Po dokonaniu fotografji, Najdostojniejszy Pasterz przeszedł do klasy ósmej, gdzie zadawał pytania uczniom z zakresu nauki szkolnej. Bezpośrednio po naszej wizytacji odwiedził ks. Biskup Seminarjum Nauczycielskie.
21/IV 1934 r. *Lucjan Kaczor kl. VI.*

Rola szkół w przygotowaniu gruntu pod konstytucję 3-go maja.

Chcąc przeprowadzić jakąś reformę drogą ewolucji, trzeba aby całe społeczeństwo w jej potrzebę uwierzyło, aby każdy członek społeczeństwa widział jej zbawienność. Dlatego ideę reformy trzeba propagować wszędzie i starać się dać ją poznać każdemu. Trzeba w duchu tej reformy wychować całe pokolenie, które ma ją przeprowadzić.

Do tego służą szkoły. Skupiają one przyszłych członków myślącego i działającego społeczeństwa, przy ich więc pomocy najłatwiej jest sączyć w młodzież myśl, zaznajamiać ją z potrzebą urzeczywistnienia tej myśli, jednem słowem, przygotowywać grunt pod przyszłą reformę.

Rozumieli to twórcy konstytucji 3-go maja. Chcieli oni przeprowadzić nową koncepcję szlachectwa przez dopuszczenie do stanu szlacheckiego. Chcieli oni, aby prawo szlacheckie, a tem samem udział we władzy, było dostępne dla wszystkich ludzi o pewnej wartości społecznej, aby pojęcia szlachectwo i obywatelstwo zrównały się. Chcąc to wszystko uskutecznić, musieli oni przekonać społeczeństwo, że mieszczanin nie jest gorszy od szlachcica i że krew szlachecka nie świadczy wcale o wartościach społecznych.

Robili to. Znakomicie do tego przyczyniała się literatura, dużo na tem polu zdziałała publicystyka ze Staszicem na czele, ruch polityczny wśród mieszczaństwa, a wreszcie szkoły Komisji Edukacyjnej. Grupowały one przecież przeważnie ten żywioł, który miał dopuścić do swych wyżyn innych, grupowały szlachtę.

Trzeba było tę młódź szlachecką przekonywać, trzeba ją było urabiać, jeżeli już nie w tym celu, aby sami reformę przeprowadzili, kiedy dojrzeją, to przynajmniej poto, aby ta reforma nie spadła na nich niespodzianie, aby ich nie zastała nieprzygotowanych.

Bo ogół szlachty był jeszcze wtedy zupełnie nieprzygotowany na to, co miała mu dać konstytucja 3-go maja. Było wtedy dużo szlachty, która sobie nawet nie mogła wyobrazić, jak mogą mieszczanie brać udział w rządach. Nie chciało im się wierzyć, że ludzie, niemający w żyłach ich krwi, mają taki sam zasób zmysłu politycznego, jak oni.

Twórca mazurka Dąbrowskiego Wybicki opowiada, że gdy, na skutek niepowodzenia konfederacji barskiej opuściwszy kraj, znalazł się w Holandji, był tym Turkiem z anegdoty, który się śmiał, nie mogąc uwierzyć i zrozumieć, jak Wenecja mogła się rządzić sama, bez sułtana. Nie mógł Wybicki zrozumieć, jak może istnieć państwo, rządzone przez ogół swych obywateli i obywające się bez szlachty i króla.

Takich jak on było w społeczeństwie szlacheckiem bardzo dużo. Ich przerobić było już trudno. Trzeba więc było zapobiec rozwinięciu się podobnych poglądów u nowego, dojrzewającego pokolenia szlachty.

O to właśnie starały się szkoły Komisji Edukacyjnej. Profesorowie ich tłumaczyli młodzieży szlacheckiej, że mieszczanie są stanem „zacnym“, że panowali nawet nad narodami, podając im jako przykład Rzym i Ateny. Usuwały się w ten sposób przesądy stanu szlacheckiego, dokonywała się tak upragniona przemiana zapatrywań szlachty. W cierpliwie i dokładnie rozkopywany grunt przesądów rzucano nasiona myśli, mające zakiełkować i wydać nową konstytucję.

T. Wiksne kl. VII.

ŁAZIENKI.

Aleje ciemne, gdzie niegdzie rzucony
Faun z marmuru, tu z kamienia ława;
W słońca fontannę jak w złoto wprawiony
Jasny pałacyk króla Stanisława.
Lekki jak z piany, słoneczny, nad wodą
Świecąc zdaleka wśród parku zieleni,
Tą swoją pańską czaruje urodą:
Stubarwną tęczą wspomnienia się mieni.

— — — — — —

Kiedyś Łazienki dobre miały chwile
Stanisław August, otoczony dworem,
Lubiał tu mieszkać, wspominał je mile,
Tutaj czwartkowe obiady wieczorem
W sali stołowej jadał z poetami,
Tu bale dawał i z lata niedzielą
Zjeżdżał tu teatr. A park pomnikami
Cudnie ustroił marmurową bielą.

Dawno umilkły czasy Stanisława,
Łazienki zawsze te same zostały,
Nastała cisza, ustała zabawa,
Wspomnienia bajką tylko powracały

— — — — — —

Przecudny pałac króla naśladuje
I otoczony też jest swoim dworem,
Tu „biały domek” wiernie go pilnuje...
Wszystkie fauny powstają wieczorem
I idą pokłon białemi ciałami
Oddać, by spojrzeć w pałacowe ściany,
I aby odejść. Stać się kamieniami
I śnić snem, który przeszłości zabrany.
Hołd pałacowi cały park też składa.
Mały pałacyk, Myśliwieckim zwany
Także mu swoje myśli wypowiada,
Pałac jest królem, domki — szambelany

— — — — — —

Cudnie się roi sen Łazienek stary,
W wodzie wspomnienie jakieś mi się marzy,
Co ma z lazuru długi płaszcz niebieski....
Aleja ciemna. Gdzie niegdzie rzucony
Faun z marmuru, tu z kamienia ława...
Łazienki! złoty okular wprawiony
W barwną stolicę króla Stanisława.

Adam Osuchowski, kl. VIII.

KŁOPOTY OBYWATELKI M. RADOMIA W R. 1753.

Obecnie, w dobie kryzysu, często w domu rozmawia się o wysokich (stosunkowo) cenach drobiu, masła etc. To też nie zaszkodzi odtworzyć „raj” dla smakoszy, który to „raj” mieścił się właśnie w naszym Radomiu, dość dawno, bo 200 lat temu. Sięgnąłem do aktów archiwum radomskiego.

— — — — — — — — —

Na moje szczęście trafiłem na rachunek, który „ojcowie” naszego miasta wystawili magistratowi za podejmowanie „exactora”, przybyłego z Warszawy dla sprawdzenia regestrów. Stąd dowiedziałem się, ile też pieniędzy trzeba było na zakupienie niektórych artykułów spożywczych. A więc: jajko kosztowało w r. 1753 pół grosza (ówczesnego), chleb żytni 3 — 4 grosze, śledź — 4 grosze, do tego kwarta (dla mocnych

głów) wina węgierskiego — 2 złote, dla patrjotów flaszka miodu — 1 złoty 8 groszy, dla przezornych za 4 złote beczka piwa. A drób jaki tani! Kaczka za 10 groszy. No, no; więc mało na jedzenie u nas wydano. Ale porównajmy te sumki z sumami podatków, zbieranych w mieście. Miasto pogłównego podatku w tymże roku 1753 wzięło 31 złotych 21 groszy, a największa defraudacja (autentyczne) w magistracie radomskim w tym roku, dokonana przez prezydenta Piaseckiego, wynosiła 325 złotych 13 groszy. Więc wszystkie dziedziny życia miały niższy (jak nam się może wydawać) niż dziś budżet.

J. Gliksman kl. VII.

POWIETRZE W PĘTACH.

Niema już dla człowieka miejsca, którego nie opanowałby i nie wykorzystał dla swych celów. Została już zdobyta głębina morska, wryto się w głąb ziemi, przebyto dzikie doliny i pustynie, wzniesiono się ponad obłoki, balony przecięły stratosferę. Technika w nieustannym pochodzie sięga dalej, niż kiedykolwiek można było sądzić.

Najwięcej ofiar pochłonęło lotnictwo. Każdy nowy typ aparatu latającego skrapiał człowiek swą krwią. Lecz każde niepowodzenie, każda zmasakrowana ofiara utwierdzały nowoczesnych Ikarów w wytrwałości. Ciągły opór żywiołu wzbudzał gniew i tem zaciętszą walkę.

Aż powietrze uległo. Człowiek zwycięski przeciął je z pychą skrzydłami samolotów, przewiercił sterowcem. Ucisk budzi bunt. Więc i ujarzmione powietrze targa się czasem w więzach, sypie piorunami i grzmotem, dmąc wichrami i burzą. Lecz są to walki, pełne niemocy i bezsiły. Prawda, że czasem zleci grzmiąca maszyna jak zastrzelony żóraw, że stopa nawałnicy zgniecie śmiałego wędrowca podniebnego, że chmura, zbratana z wodą oceanów, wchłonie błękitny balon.

Daremne boje! Z prochów Nungessera powstaje Lindbergh, jęki pasażerów tonącego sterowca stworzyły nazwiska Mattewra i Posta, z gruzów R. W. D. 6 wzleciała awjonetka Skarżyńskiego. Każdy stracony samolot powstaje jak Feniks i natychmiast rozmnaża się w eskadry. Marynarz przestworzy, wzbogacony ciągle doświadczeniem, wytrąca zwycięsko Zeusowi pioruny z dłoni. Z poczuciem wyższości leci tam, gdzie czuje grę życia i śmierci, gdzie czai się cień kostuchy, gdzie za puszczą, pustynią, morzem, oceanem kwitną liście srebrnego lauru. Śmieje się w głos z mgławicy, jakby chcąc przejechać kołami

po jej grzbiecie, zwinnie wykręca się z pod ręki orkanu, bzykając mu nad uchem jak natrętna mucha.

A kiedy wicher wojny zahuczy nad kontynentem, nie będzie już lotnik zwracał uwagi na przestworze. Będzie ono w jego oczach czynnikiem pobocznym, będzie narzędziem i będzie sługą. A być może niedługo to nastąpi.

R. F. Seredyński kl. VII.

CHALLENGE R. 1934.

Rok 1934 pozostaje w Polsce pod znakiem Challenge'u. Challenge — to wielka impreza sportowa samolotów, polegająca na przeleceniu trasy, mającej prawie 10.000 km. długości. Organizuje ją zwycięzca zawodów ostatnich. Ponieważ zwycięzcą Challenge'u ostatniego, który miał miejsce w roku 1932, była Polska, w osobach ś. p. Żwirki i Wigury, Polska organizuje zawody tegoroczne.

Challenge ma znaczenie ogromne. Państwa, biorące w nim udział, wykazują stan swego lotnictwa turystycznego, pokazują swój najlepszy materjał lotniczy. Okazja to rzadka, pozwalająca nam porównać siły swoje z siłami innych. Ponieważ Challenge odbywa się co dwa lata, pozwala on każdemu państwu sprawdzić postęp, jaki zrobiło w tym okresie w doskonaleniu samolotów i szkoleniu pilotów. Pozwala on na sprawdzenie naszych pilotów z sławnymi pilotami zagranicy, pozwala praktycznie wypróbować szybkość, wytrzymałość i zalety, pozwala wykryć wady naszych samolotów. Trasa jest długa. Ludzi trzeba o nerwach żelaznych i o wielkim harcie ducha, maszyn trzeba wybornych.

W roku 1932 mieliśmy i jedno i drugie. Żwirko miał to, co potrzebne człowiekowi, Wigura dał nam R. W. D. 6, która miała wszystko, co potrzebne maszynie. Dlatego rezultat Challenge'u był dodatni. Challenge — sprawdzian wykazał wysoką klasę naszego lotnictwa.

To jest jedno. Drugie to propaganda. Impreza taka jak Challenge jest poważną i interesuje wszystkich. Zwycięstwo lub nawet zaszczytna przegrana rozsławi imię tego, co zwycięży, lub da się po wielu wysiłkach, o włos od wygranej, pokonać. Imie narodu, który zwycięży, będzie na ustach całego świata. Tak było w roku 1932. Cały świat dowiedział się, że zwyciężyła Polska, że zwyciężył Polak na polskim aparacie. Każdy naród dowiedział się, że Polska posiada doskonałych pilotów i konstruktorów wybornych samolotów.

Przecie to wzmocnienie zaufania zagranicy do państwa zwycięskiego, wzmożenie szacunku względem niego. Państwu, które wykazuje stały i silny rozwój lotnictwa, zagranica musi ufać. Wie, że przymierze z takiem państwem ma sens, bo państwo to posiada siłę. Mając dobrych pilotów i dobrych konstruktorów, ma się silne lotnictwo, jest się silnym. Z państwem takiem trzeba się liczyć i szanować je jako siłę.

Zwycięstwo roku 1932 przydało nam się bardzo. Przydałoby się i zwycięstwo Challenge'u tegorocznego. Jesteśmy państwem młodem, musimy ciągle wykazywać, że potrafimy istnieć sami, że nie jesteśmy państwem sezonowem. Musimy wykazywać, że nietylko nie pozostajemy w tyle za innymi, lecz ich wyprzedzamy.

Organizatorem Challenge'u r. 1934 jest Aeroklub Rzeczypospolitej Polskiej. Wszystko spoczywa w ręku generalnego sekretarza Aeroklubu, wiceprezesa zarządu Międzynarodowego Związku Lotniczego i przewodniczącego Międzynarodowej Komisji Sportowej Challenge 1934 r., p. pułkownika Kwiecińskiego. Praca już wre. Lotnisko warszawskie, które będzie punktem początkowym i końcowym trasy lotu, przygotowuje nowe hangary. Organizuje się kontrolę sportową całych zawodów, przygotowuje się postoje na kilkudziesięciu lotniskach, leżących na trasie, dostarcza się odpowiednią ilość materjałów pędnych i smarów dla tylu maszyn. Organizuje się służbę informacyjną, meteorologiczną, powołano już do życia specjalne biuro prasowe. Ci, co tem wszystkiem się zajmują, wkładają w to maximum pracy i energji, chcąc, aby organizacja Challenge'u tegorocznego nie ustępowała przynajmniej organizacji tego, który w roku 1932 urządzili Niemcy. A trudne to zadanie, bo Niemcy są narodem o wielkim zmyśle organizacyjnym.

Dnia 15 kwietnia minął pierwszy termin zgłaszania się do zawodów. Dotychczas zgłosiło się pięć państw. Są to: Polska, Francja, Czechosłowacja, Anglja i Niemcy. Teraz będą już przyjmowane nazwiska poszczególnych lotników i nazwy ich maszyn. Ostateczny termin zgłoszeń upłynie z dniem 15 czerwca.

U nas w Polsce zobaczą zawodników: Warszawa, Katowice, Lwów i Wilno.

Zawodnicy nasi nie są jeszcze wyeliminowani, nastąpi to dopiero w czerwcu. W sierpniu rozpoczną loty treningowe na aparatach, zgłoszonych do konkursu. Dnia 28 sierpnia kilkadziesiąt samolotów rozpocznie Challenge odlotem z Warszawy.

T. Wiksne, kl. VII.



Filar naszej Redakcji.

ULICA WIECZOREM.

Oświetlone wystawy, stukot kół po bruku,
Wrzask głośników i głośne przechodniów rozmowy,
Kamiennych bloków ściana, zgięta w wielkim łuku,
To wieczorem ulicy bije puls nerwowy.
Giniesz w bezmyślnym tłumie, co jak wąż leniwie
Przesuwa się wesoły z światła i pogody,
Słyszysz płaskie dowcipy i sam niecierpliwie
Idziesz gdzie indziej szukać ciszy i swobody.
Bezdusznych gmachów cielskiem i okien paszczami
Wzbudza grozę ulica w wieczornym półcieniu,
Osnuwa duszę smutkiem, wstrząsa wspomnieniami,
Idziesz, oddany własnym myślom i marzeniu.

K. Komła kl. VII.

MIŁOŚĆ KWIATÓW.

W mieście stał duży dom z ogrodem. W ogrodzie na klombie rosły kwiaty barwne, pachnące. Geometryczną symetrję porozsadzanych kwiatów psuły zbyt może zdala kwitnące dwa białe narcyzy, melancholijnie wyniosłe. Zbliżyła je ku sobie niechęć do kwiatów, codziennem życiem nasyconych. Zbliżyło je ku sobie marzenie o wykwitnięciu wolnem, nie-

skrępowanem prawami sztucznego piękna, prawami, które narzuca ręka ogrodnika. Opowiadały sobie myśli swoje, myśli piękne, dumne, jak postać narcyza, co rośnie dla siebie i słońca.

I rozkochały się w sobie dwa białe, samotne narcyzy.

Promienie słońca załamywały się na płatkach i łączyły ze sobą serca kwiatów. Na nici tej, z blasków i snów słonecznych wysnutej, słały do siebie listy, pełne tęsknoty i miłości kwitnącej. Muskane wiatrem nachylały się ku sobie, jakby podając do pocałunku wargi płatków swoich, spragnione pieszczoty. Godzinami całemi prowadziły rozmowy ciche, bezszelestne, a takie upojne, tak pełne rozdrganej woni skrzydlatej. Prężyły się na słońcu kibicie kwiatów, mocno pulsowała krew, zaklęta w zielonej łodydze.

Słońce... narcyzy... miłość...

Jednego dnia ktoś schylił się nad narcyzami, ujął palcami jeden z nich i szarpnął. W butonierce zamigotał biały kwiat bólem i nienawiścią do człowieka.

Narcyz, który pozostał na ziemi, wyciągnął bezsilnie płatki ku górze i zapłakał. To nie są krople rosy — to są łzy narcyza, łzy tęsknoty.

Samotny zaczął marnieć i ginąć. Może go potrąciła i zraniła ręka człowieka. Może to pękło serce kwiatu. Miał tylko jedno, co pokochał i to mu zabrano.

Zerwany narcyz, wyrzucony po kilku godzinach z butonierki, leżał zwiędnięty w drugim końcu ogrodu. Chciałby pewnie wstać, znów ujrzeć kochanka, znów rozkwitnąć radością.

Wśród zmieszanych zapachów kwiatowych odnalazły się dwie wonie: jedna z nich była ostatniem tchnieniem zerwanego narcyza, druga zaś — ostatnim pocałunkiem narcyza, który umarł z tęsknoty. Odnalazły się, zmieszały ze sobą i popłynęły w przestrzeń, unosząc w dal najpiękniejszą pieśń o smutku i miłości kwiatów. *Jan Marjan Rozgórski*

O ANALOGJI.

Gdy uczymy się jakiegoś języka, możemy zauważyć (o ile chcemy i umiemy obserwować), że niektóre złożenia i zwroty w językach obcych są analogiczne do złożeń i zwrotów, używanych w naszej ojczystej mowie.

— — — — — — — — — —

Zajmiemy się złożeniem samych wyrazów. Najwięcej stosunkowo analogji do języka polskiego pod tym względem

znajdujemy w języku łacińskim. Wybieram złożenia mniej znane: np. miseri— cordia odpowiada polskiemu wyrazowi litość. Ale porównajmy miseri—cordia ze staropolskiem litosierdziem (miłosierdziem). Miser—nieszczęśliwy, a więc z naszego stanowiska: potrzebujący opieki, ten, nad którym trzeba się litować, cor, cordis — serce, serdce (por. osierdzie), polskie złożenie miłosier-(d)-ny, miłosierdzie jest przecież tak samo utworzone, jak łacińska „misericordia”. Mamy w łacinie wyraz suggestus, na oznaczenie kopca, z którego wódz przemawiał w obozie do żołnierzy. Sug = sub, znaczy: pod, gero-ere, gessi znaczy niosę, sug—gestus dosłownie podniesiony, podniesienie, wyraz polski tak samo sformułowany, to samo oznacza. W języku francuskim: złożenie pochodzenia łacińskiego „magnanime” na oznaczenie wielkoduszności. Magnanime złożone jest z magna i anima (względnie magnus animus) co znaczy wielka dusza. Z łacińskiego przymiotnika powstaje przymiotnik francuski, a o dziwo, i w polskim mamy analogiczne złożenie. Wyraz francuski influence (od łacin. influo) ma prawie tylko znaczenie abstraktu, oznacza: wpływ. In-fluo po łacinie dokładnie przetłumaczone na polski znaczy: w-pływam. Czyli i tu zachodzi analogja złożenia: influence i wpływ: znaczenie abstrakcyjne takie same. W dwóch językach obcych niemieckim i hiszpańskim mamy: buch-halter i tenedor de libros, w obu językach: trzymający (halter, tenedor) książek— złożenie indentyczne. Teraz mniej oczywiste: green (zielony) i grow (róść) w angielskim można nawiązać do stosunku zielony i ziele (jako coś, co dawało pojęcie wzrostu. Green i grow — jeden pień, ziele i zielony też jeden pień)

Dużo możemy wyliczyć przyczyn tej indentyczności, więc: 1) mogło zachodzić wzorowanie się języka na obcym przy tworzeniu złożeń, co może miało miejsce w wyrazie pełnomocnictwo — pleni—potentia, a czego przykłady mamy w przekładach np. Iljady. 2) dwa ludy mogły w jednakowy sposób przedstawiać sobie, symbolizować abstrakty, 3) wpływ mają i okoliczności, warunki, w jakich wyraz się tworzy, 4) wypadki historyczne silnie na język wpływały: np. odcień barwy czerwonej nazwano „magenta” (czyt. madżenta) na pamiątkę bitwy, 5) podświadomy wpływ języka obcego na nasz sposób mówienia, (por. widziałem go pisać) etc.

— — — — — — — — — —

Przedstawiłem tu b. powierzchownie kwestję złożeń i część ich źródeł, chcąc wywołać więcej zainteresowania zagadnieniami tego rodzaju.

J. Gliksman kl. VII

„PERPETUUM MOBILE“.

(FANTAZJA).

Pisać! Trzeba koniecznie coś napisać. Trzy razy odwlekałem termin oddania wypracowania i trzy razy widziałem niezadowolone oblicze profesora. Czwarty raz mógł się skończyć nadzwyczaj tragicznie. Trzeba wreszcie coś napisać. A tu już godzina 9 wieczór i wściekle chce się spać. A... a... a co tu pisać? Co na... pi... p... pisać......!?

— — — — — — — —

Pisać! Panowie, szybko notować wykład! Pisać stenografją! — rozległ się szept „prezesa“, płynący z maleńkich głośników, umieszczonych w specjalnych niszach, wydrążonych w blatach „ławek“, jeżeli je można było nazwać ławkami. O, bo jakie były one różne od twardych ław szkolnych, stosowanych jeszcze w 20 wieku. Były to raczej fotele, połączone parami, wyściełane miękką skórą. Miejsce dawnych pochyłych pulpitów zajęły małe stoliki, wybite zielonem suknem.

Szuflady, przeznaczone na książki i zeszyty, zamykane były na specjalne zamki, do których tylko właściciele posiadali klucze. Ławki stały szeregiem, na środku zaś znajdowało się podwyższenie, z którego profesorowie wykładali swój przedmiot. I teraz stał tam profesor i, żywo gestykulując, wykładał o rozwoju techniki od pierwszej wojny światowej. Szybciej zaskrzypiały wieczne pióra i wszyscy pochyleni nad zeszytami skrzętnie notowali wykład, z pod oka jedynie spoglądali na ławkę „prezesa“, skąd miał wyjść końcowy sygnał pracy. Podczas gdy wszystkie ławki były do siebie bliźniaczo podobne, ta jedna wyróżniała się. Była większa i obszerniejsza, sukno, pokrywające blat, było amarantowe, zamiast niszy na głośnik miała precyzyjnie zbudowany aparat nadawczy, przez który, nie przeszkadzając prelegentowi, „prezes“ mógł posyłać do każdego uwagi, skarcenia względnie polecenia, posługując się całym systemem guziczków, odpowiadających każdemu uczniowi; posiadała aparat do notowania wykładów, gdyż prezes, będąc głową związku, nie mógł notować własnoręcznie; i nakoniec zaopatrzona była w system lampkowy, któremi „prezes“ dawał znać prelegentowi o rozpoczęciu, zakończeniu, zwolnieniu względnie przyśpieszeniu wykładu. System ten był wprowadzony w celu wyrobienia w młodzieży zrozumienia pracy. Nie pracowano pod przymusem. Każdy pracował sam, ochotnie i z zapałem, aby pracą rozszerzać swój horyzont naukowy i przynieść chlubę związkowi, do którego należał. Dlatego też pozostawiono w rękach młodzieży

kierownictwo nad podziałem godzin i ich czasem, ograniczając się zaledwie do dostarczania sił fachowych w dziedzinie wszystkich przedmiotów. Rządy w klasie — związku sprawował prezes, wybierany przez członków, mając władzę nieograniczoną. Wyboru dokonywano co pół roku.

Nareszcie salę zalało chwilowe czerwone światło. Wszyscy wyprostowali się, prelegent przerwał wykład i pytająco spojrzał na prezesa. Ten wstał i donośnym głosem powiedział:

— Panie profesorze! Pozwoliłem sobie wcześniej zakończyć wykład, a to z powodu zbliżania się wielkiej chwili, jaką przeżywać będzie nasz związek. Chwila ta będzie ważna nietylko dla nas, ale także dla wszystkich, dla całego świata. Wiadomo jest wszystkim, że członek naszego związku dokonał monumentalnego wynalazku. Po długiej pracy nad ulepszeniem i zastosowaniem go dziś poraz pierwszy pokażemy go wszystkim. Z powodu prac, związanych z naszą imprezą, kończymy naukę o dwie godziny wcześniej.

Zaległa cisza. Uczniowie spoglądali na profesora ciekawi, jakie wrażenia wywoła na nim ta wiadomość.

— No panowie, powiedział z uśmiechem profesor, życzę panom powodzenia, chociaż, muszę przyznać, sam w nie nie wierzę. Po tylu nieudanych próbach zbudowania tej wiecznej maszyny trudno jest uwierzyć zapewnieniom panów o pokonaniu trudności i zbudowaniu tejże. No ale „szczęść wam, Boże“.

Po wyjściu profesora cicho i składnie wysunęliśmy się do warsztatów, celem wykończenia dzieła. Rzeczywiście jeden z naszych zbudował „perpetuum mobile“, ów wielki wynalazek, który miał uczynić przewrót w całym cywilizowanym świecie. Aby przekonać świat o prawdziwości wynalazku, zastosowaliśmy go miast motoru do awjonetki, na której miał wynalazca, w towarzystwie jednego z nas, przelecieć nad zebranym tłumem. Przy pracy czas przeleciał tak szybko, że nie spostrzegliśmy, kiedy nadszedł czas wykonania eksperymentu. Poprzebieraliśmy się na gwałt i szykowaliśmy się do uroczystości, gdy wtem prezes, dotąd rozmawiający z wynalazcą, powiedział, zwracając się do mnie:

— Kolega K-ski pragnie, abyście mu towarzyszyli w locie. Zgadza się kolega?

— Tak jest, — odpowiedziałem z powagą — dziękuję za wyróżnienie.

Udałem się szybko z wynalazcą do hangaru, gdzie wciągnęliśmy na siebie ubiory pilotów i ruszyliśmy na lotnisko. Lotnisko rozciągało się niedaleko za budynkiem zakładu. Był to olbrzymi plac, porośnięty zlekka trawą, rozciągający się na kilometr kwadratowy. W jednym końcu znajdował się

sztucznie urządzony start dla szybowców. Urządzony on był na podobieństwo „schodów djabelskich“ w Luna Parku; na przestrzeni około 100 m. chodziła z dużą szybkością, na olbrzymich walcach, taśma, która porywała aparat i z wielką siłą wyrzucała w przestrzeń. Cały plac wkoło był zapełniony ludźmi, żywo rozprawiającymi nad wynalazkiem. Tłumy reporterów i operatorów filmowych uwijały się, starając się uchwycić nas na kliszę względnie zamienić kilka słów wywiadu.

Bliżej startu stały związki wszystkich szkół ze sztandarami, powiewającemi nad ich głowami. Przywitali nas okrzykiem: „Czołem, koledzy”! Czołem! odpowiedzieliśmy i szybkim krokiem zbliżyliśmy się do grupy dyrektorów zakładów, fizyków i inżynierów mechaników, mających naocznie sprawdzać nasz aparat. Aparat sam stał już tuż przy taśmie wyrzutu. Była to zwyczajna awjonetka, tem się tylko różniąca od innych, że miast silnika, miała zastosowaną „maszynę wieczną”. Śmiga, raz poruszona, puszczała w ruch cały system kółek, kółeczek i dźwigni, zrobionych ze stopu kilku metali szlachetnych, mającego tę zaletę, że był niezmiernie twardy, nie podlegał rozszerzalności linjowej pod wpływem temperatury i nie ścierał się w użyciu. Te zaś kółka i dźwignie w końcowej swej pracy zasilały energją śmigę, pozwalając jej otrzymywać coraz większą szybkość i działać bez przerwy — wiecznie. Szybkość obrotu była jednak ograniczona specjalnie w tym celu wbudowanym aparacikiem, zwanym „ocupertem”, który dopuszczał do tego tylko rozpędu, przy pomocy którego aparat mógł się unosić w powietrzu.

Cała falanga ludzi kompetentnych w tej dziedzinie nauki zalała aparat, oglądając go ze wszech stron. Zdawał się on teraz, jak wzgórze, opadnięte przez chmarę szarańczy i całkowicie przez nie zawładnięte. Sam wynalazca był spokojny i opanowany. Odpowiadał na wszystkie zapytania uprzejmie, objaśniał, tłumaczył, pouczał. Nareszcie zebrana delegacja inżynierów-techników orzekła. że aparat nie posiada żadnego silnika oprócz nowej maszyny. Teraz nastąpić miała rzecz najważniejsza t. j. poruszenie maszyny. Czynu tego dokonał wzruszony dyrektor zakładu, poruszając silnym zamachem śmigę.

Wszyscy zamarli w oczekiwaniach. Śmiga zrobiła kilka obrotów i... zdawało się, że stanie, gdy jakaś niewidzialna siła popchnęła ją znowu. Później w miarę wzrostu szybkości przerwy te stawały się mniej widoczne, aż wreszcie całkiem zniknęły. Zniknęły dla oka laików, ale my je widzieliśmy i zatrważały nas.

— A mówiłem, żeby założyć krótszą dźwignię. Ta stanowczo za długa. Będzie szarpać — szepnąłem do towarzysza.

— To prawda — odpowiedział — ale już zapóźno na zmianę. Patrz, ksiądz przystępuje do poświęcenia.

W kilka minut później siedzieliśmy już w aparacie i wynalazca dawał znak na zepchnięcie nas na taśmę wyrzutu. Maszyna działała coraz szybciej i najwyższy czas do startu. Taśma porwała nas nagle i niosła z przerażającą szybkością. Ksiądz przeżegnał nas krzyżem, z piersi ludu wyrwał się okrzyk, który rozbrzmiał i rozszedł się, jak detonacja wystrzału armatniego. A nas niosła taśma; coraz bliżej przepaści, coraz bliżej wylotu... aż nagle zawisnęliśmy w powietrzu. Maszyna doszła do maximum obrotów. Strzałka okuperta zbliżała się do krańca wytrzymałości, drżąc niespokojnie. Unosiliśmy się łagodnie w górę, zataczając coraz większe koła. Coraz bardziej ziemia stawała się mniejsza, ludzie maleli do punkcików, a głos ich słychać było coraz słabiej. Było słychać, bo jedną z zalet maszyny to to, że pracowała bez żadnego hałasu. Nagle zwrócił moją uwagę trzask, dobywający się z kabiny maszyny. Powiedziałem to K-skiemu. Odpowiedział, że i on słyszy i oddawszy ster w moje ręce. spuścił się w dół. Po dłuższej chwili wyszedł. Był strasznie blady. Błędnym wzrokiem spojrzał na mnie i jęknął:

— Wszystko stracone! Podpiłowana! Zaraz trzaśnie!

— Jezus Marja! — wrzasnąłem — co podpiłowane? Mów wyraźniej!

— Główna dźwignia! Ta coś mówił, że za długa. Ląduj, na miłość boską! Prędzej!

Skręciłem ster i przy akompanjamencie jęku linek zacząłem zniżać lot. Wtem rozległ się trzask, głośniejszy niż poprzednie; śmiga zrobiła kilka gwałtownych susów, jak człowiek krztuszący się i... stanęła nieruchomo. Aparat pozbawiony popędu, runął w dół. Świat się zakręcił w oczach, a ziemia zbliżała się z oszałamiającą szybkością. Spadochronów nie mogliśmy użyć ze względu na małą wysokość. Lecieliśmy więc prosto w objęcia śmierci. Jeszcze kilka sekund... jeszcze sekunda... chwila... i...

— — — — — — — — — — — — — — — —

Szarpiący ból przywrócił mi przytomność. Otworzyłem oczy. Boże! Gdzie ja jestem? Pokój, taki jak dawniej... dawniej w 20 wieku; pokój znajomy, bliski: stół na środku, na stole rozłożony zeszyt, Zamknąłem oczy, sądząc, że śnię, ale ból głowy mówił wyraźnie o rzeczywistości. Krzesło wywrócone, ja sam na podłodze. Powoli przychodziłem do siebie. Tak, to wszystko — to tylko sen. Zasnąłem nad wypracowaniem i spadając z krzesła, uderzyłem głową o łóżko, rozcinając ją na czole. A szkoda, że to tylko sen!

Lucjan Kaczor kl. VI.

REKLAMA KONIECZNOŚCIĄ HANDLOWĄ

Kiedy zaczął rozwijać się handel, kiedy w mieście był najwyżej jeden sklepik, wtedy reklama była jeszcze czemś prawie zupełnie zbytecznem. Dopiero kiedy założono drugi i trzeci sklep konkurencyjny, wtedy zaczęto na szyldach piwiarń malować olbrzymie, pokryte pianą kufle piwa, na szyldach piekarń smakowite rumiane bułeczki i rogaliki; zaczęto pisać, że tu można dostać najlepsze, najsmaczniejsze, najtańsze... i wiele jeszcze superlatywów stawiano przed nazwą danego produkiu, żeby zachęcić i znęcić klienta.

Dziś wzięła na swoje usługi światła elektryczne, neonowe, dziś posługuje się najbardziej wyszukanemi środkami techniki i sztuki.

Reklama stała się koniecznością życia handlowego. Wzmożona do maksimum konkurencja zmusza dzisiejszego producenta i sprzedawcę do jak najszerszego reklamowania towarów. Na reklamę nie szczędzi się pieniędzy. Dane statystyczne (np. Polskiego Monopolu Tytoniowego) stwierdzają, że umiejętna, mądra reklama do tego stopnia może wpłynąć na zwiększenie konsumpcji, że nietylko pokryje koszty z nią związane, lecz da znaczne zyski, nawet choćby się zmniejszyło cenę sprzedaży.

Zainteresowanie świata handlowego reklamą wzrasta z dnia na dzień. Coraz częściej ukazują się pisma, bądź dzieła, poświęcone zagadnieniom reklamy.

Wysoki poziom środków i sposobów reklamy najlepiej świadczy o pełnem zrozumieniu tej tak ważnej konieczności handlowej.

Jan M. Rozgórski.

...PRZYZWOITKI!

Dyrekcja z miłością
Rozpoczęła boje,
Nie wolno nam chodzić
Na randkach we dwoje.

Jak krawiec za igłą
Ciągnie długą nitkę,
Tak sztubak ma ciągnąć
Z sobą przyzwoitkę.

Wobec tego, projekt
Może kapkę brzydki:
Rozpiszmy ankietę
No... na przyzwoitki.

Lucjan Kaczor kl. VI.

SILVA RERUM.

Obchód uroczystości 19 marca.

Wspólnem staraniem gimn. żeńskich M. Gajl i im. M. Konopnickiej oraz naszego gimnazjum odbyła się w niedzielę dn. 18.III b. r. w teatrze „Rozmaitości” Uroczysta Akademja celem uczczenia Imienin Pierwszego Marszałka Niepodległej Polski Józefa Piłsudskiego.

Na początku przemawiał p. dyr. J. Dąbrowski, następnie w imieniu młodzieży kol. J. Olewiński. Na część deklamacyjną złożyły się deklamacje kol. Borowskiej, kol. Rozgórskiego i deklamacja dziecięca. Z wielkiem uznaniem spotkał się również występ naszej orkiestry pod kierownictwem pana prof. Piątka.

Na drugą część Akademji złożyła się sztuka sceniczna „Porucznik I-szej brygady” — odegrana przez młodzież. Na szczególne uznanie zasługuje gra kol. Przegalińskiej i doskonałego w roli Frosimowa kol. Janowicza. W przerwach między aktami przygrywała orkiestra szkolna.

Poświęcenie sztandarów.

We wtorek dn. 17.IV b. r. o godz. 9 rano w kościele po-bernardyńskim odbyło się poświęcenie dwóch sztandarów: gimn. żeńskiego im. M. Konopnickiej i Koła P. C. K. tegoż gimnazjum. Uroczystego poświęcenia dokonał J. E. ks. Biskup W. Jasiński, podkreślając w swem przemówieniu doniosłe znaczenie sztandaru w życiu szkolnem. W czasie uroczystości były obecne poczty sztandarowe i delegacje średnich szkół radomskich.

„S w a t y”.

Dnia 22.IV b. r. o godz. 4 pp. odbyła się impreza, urządzona staraniem Koła przyjaciół młodzieży przy gimn. M. Gajl. Oprócz uczennic tegoż gimnazjum brali udział uczniowie z gimn. im. T. Chałubińskiego, im. J. Kochanowskiego i Szkoły Technicznej. Na całość złożyły się występy chóru, deklamacje, monologi, dialog i dwuaktowa sztuka p. t. „Swaty”. Popisy chóru zyskały gorące oklaski i brawa; dobrze również wypadł dialog dwóch uczennic i barwny obrazek sceniczny p. t. „Prząśniczki”. W przerwach pomiędzy poszczególnemi częściami programu pięknie deklamowała wiersze Tuwima i Staffa p. Przegalińska, zyskując uznanie publiczności.

Sztuka p. t. „Swaty” tem może odbiega od szablonu, że wiele w niej tańca i śpiewu. Sam temat nudny i banalny. Gra artystów jednak była bez zarzutu. Wiele ożywienia wprowadziły tańce, jak kujawiak i mazur. Całość wypadła dość interesująco.

Wycieczka do gór Świętokrzyskich.

Koło Krajoznawcze naszego gimnazjum organizuje kilkudniową wycieczkę do gór Świętokrzyskich. Wyjazd 23.V rano — powrót 26.V wieczorem. Plan wycieczki: Radom — Zagnańsk — Św. Katarzyna — Św. Krzyż — Zagnańsk — Radom. Trasę między Św. Katarzyną i Św. Krzyżem przebędzie się pieszo. Udział biorą uczniowie kl. VI i kl. I-a. Koszta wycieczki z całkowitem utrzymaniem maximum 7 zł.

K. M. „Filarecja".

W związku z nadchodzącą maturą zrzekli się swych funkcyj w „Senacie" i „Organie Wykonawczym" koledzy: J. Kotyński — prezes, T. Gwarek — sekretarz generalny, J. M. Rozgorski — redaktor, a oprócz tego koledzy: J. Olewiński — skarbnik główny, C. Chądzyński — sekretarz „Senatu". Na ich miejsce zostali wybrani: A. Szwacki — prezes, J. Olewiński — vice-prezes, H. Drobiński — sekretarz generalny, — J. Fidelus — skarbnik główny, T. Wiksne — redaktor, Nowocień — sekretarz „Senatu", J. Duliński — zastępca sekretarza „Senatu". Również zrzekł się swych czynności Sąd Honorowy, w skład którego wchodzili koledzy, J. M. Rozgórski — przewodniczący, S. Czarniecki, A. Osuchowski. Na ich miejsce nowych kolegów jeszcze nie wybrano. Przypominamy, że zebrania Senatu odbywają się co tydzień w czwartki o godz. 4 pp. Wszyscy uczniowie naszej szkoły mogą być na nich obecni i zaznajamiać się ze sprawami bieżącemi.

L. M. i K.

W kole L. M. i K. na terenie naszej szkoły zaszły zmiany w zarządzie. Na miejsce ustępujących kolegów: Drabika — prezes, S. Jagielskiego—skarbnik główny, zostali wybrani koledzy: J. Olewiński — prezes, P. Wontorski — skarbnik główny. Od dn. 1.IV b. r. zamiast pojedyńczego egzemplarza „Morza" przypadającego na 10 uczniów, każdy członek L. M. i K. otrzymywać będzie co miesiąc jeden egzemplarz „Polska na morzu".

Od redakcji.

Donosimy P. T. Czytelnikom o zmianach, zaszłych w redakcji. Na miejsce ustępującego redaktora kol. J. M. Rozgórskiego został wybrany kol. T. Wiksne. W skład redakcji wchodzą: administrator kol. J. Olewiński i kierownicy działów: poezji — kol. K. Komła, prozy — kol. T. Wiksne, naukowego — kol. J. Gliksman, aktualja — kol. J. Olewiński, rozrywkowy — kol. L. Kaczor, rysunkowy — kol. B. Neuman. Prace należy składać na ręce odpowiednich kierowników.

O-Ko.

I ZNOWU WIOSNA...

Mam ochotę napisania czegoś o wiośnie i uczczenia jej w ten sposób, chociaż pod tym względem jestem w kłopocie; bo przecież wiosna już od wieków była opiewana przez poetów i pisarzy. Opisywano jej urok, przemiany i wpływ na ludzi, porównując ją do cudnej królewny, przebudzonej z długiego snu zimowego.

Cieszy się nią i raduje każdy, a szczególnie uczeń, z uśmiechem idący w życie.

Sentymentalne panienki ze sklepów śpiewają równie sentymentalne piosenki o wiośnie. Obowiązkowym tematem tych piosenek jest także i miłość, np. „Ty, miłość i wiosna". Konieczne skojarzenie.

Bo i jakże? — Wiosna bez miłości i fijołków?... To jakoś nie podług odwiecznej recepty życiowej.

Wiosna każdego oszałamia. Filozof bryka jak cielę na łące, śmieje się do słońca i pochłania świeże powietrze.

A słońce, długo nie oglądane, działa na wszystkich i swym uśmiechem podnieca do życia astmatycznego dziadka i młodziana o znudzonej minie, usiłującego wmówić w siebie niechęć do życia.

Część kolegów święci wiosnę po swojemu, urządzając systematycznie wagary za miasto, na świeżą wiosenną trawkę. Inni, lojalni, rozkoszują się nią w czasie krótkich pauz szkolnych.

Piękny wieczór wiosenny ściąga tłum ludzi na t. zw. „cielętnik". Depczą sobie po piętach, popychają się wzajemnie, wdychają w siebie świeże wiosenne powietrze i są zadowoleni.

Inaczej koło Wytwórni. Tam panuje cisza, przerywana rozmowami spacerujących parami uczniów i uczenic, oraz kwitnie i rozwija się w świetle lamp miłość, tolerowana nawet przez władzę, bo przechodzący stary policjant, uśmiechając się pod wąsem, wywołuje w pamięci wizję swych wiosennych lat.

I wszysy radośni i szczęśliwi cieszymy się z uśmiechów słońca, a wiosna roztacza nad nami swój czar, odbiera nam rozum i zdrowy rozsądek, zostawiając ślepy instynkt i uczucie.

Kazmierz Komła kl. VII.

PRZEPROSZENIE.

Uznając winę, dowiedzioną mi przez Sąd K. M. „Filarecja", stwierdzam, że postąpiłem niewłaściwie, umieszczając w „Gazetce" gimnazjów krakowskich artykuł p. t. „Nowy uczeń". Ponieważ w artykule tym wydałem jednostronny a przez to mylny sąd o gimnazjum, przeto poczuwam się do obowiązku przeproszenia Kolegów.

Radom, kwiecień 1934 r. *Stefan Kuhl*

Opiekun pisma — **ANDRZEJ DAŃCZAK**. Redaktor — **TADEUSZ WIKSNE.**
Administrator — **JANUSZ OLEWIŃSKI.**
Członkowie redakcji: *J. Gliksman, L. Kaczor, K. Komła, B. Neuman.*

Adres redakcji i administracji: **Państw. Gimn. im. Jana Kochanowskiego Radom, ul. 1-go Maja 60**

Cena ogłoszeń: 1 strona — 20 zł., 1/2 strony — 11 zł., 1/4 strony — 6 zł., 1/8 strony — 3,50 zł.

Cena pojedyńczego numeru 20 gr.

Zakł. Druk. Sejmiku Radomskiego i S-ki 5 34